

Nietrudno uważnemu czytelnikowi, który śledził materiały wspomnieniowe poświęcone zmarłemu w lipcu 1995 roku Aleksandrowi Bardiniemu, dojść do wniosku, że to nie role sceniczne, w których występował, nie poszczególne osiągnięcia reżyserskie w teatrze czy operze, nie sukcesy pedagogiczne — tak bardzo wyróżniały go z plejady aktorów, reżyserów, ludzi teatru w Polsce. Byli przecież i lepsi aktorzy. Byli i wybitniejsi inscenizatorzy. Byli — z pewnością — lepsi pedagodzy niż Bardini. Tym, co Go tak bardzo wyróżniało, że trudno tu nawet o porównania — była przede wszystkim niezwykła osobowość. Osobowość intelektualna i osobowość artystyczna.

Jest rzeczą rzadko spotykaną, by śmierć człowieka teatru — aktora, reżysera, pedagoga, to prawda — ale przecież człowieka, który nikim innym nie był, nikim innym nie chciał być — tak bardzo poruszyła opinię kulturalną całego kraju. A przypomnieć także warto, że Aleksander Bardini nie pozostawił po sobie ani jednej linijki tekstu, który miałby wartość jakiejś znaczącej wskazówki, jakiegoś ważnego przekazu. Nikt jednak zaprzeczyć nie może, że był to człowiek, który w ciągu półwiecza, jakie minęło od zakończenia wojny, zaznaczył, jak rzadko kto, swoją obecność w życiu kulturalnym Polski. Cieszył się takim autorytetem, takim szacunkiem, że już tym samym stanowić mógł całą instytucję.

Warto się zatem zastanowić, na czym właściwie polegał ten wielki autorytet Aleksandra Bardiniego?

Otóż w pierwszym rzędzie wynikał on z jego głębokiej wiedzy teatralnej. Wiedział chyba o teatrze wszystko, co wiedzieć można było. Jeśli był stale zapraszany na wykłady czy sympozja, które odbywały się we wszystkich sanktuariach sztuki teatralnej na całym świecie, to dlatego, że zawsze można było założyć, iż będzie on miał coś nowego, coś odkrywczego do przekazania.

Ogromna wiedza teatralna szła w parze z inteligencją, która raz po raz eksplodowała racami trafnych, błyskotliwych spostrzeżeń, bezwzględnych sądów, złośliwych, ale przecież sprawiedliwych sądów, a także... niezwyklej, wręcz tkliwej życzliwości, jakiej dał próbkę podczas swoich słynnych programów telewizyjnych poświęconych debiutującym piosenkarzom. Ta życzliwość szła w parze z sumiennością wyrażającą się w sprawiedliwej ocenie każdego trudu artystycznego.

Obdarzony był przez naturę nie tylko absolutnym słuchem muzycznym, ale i bezwzględnym

słuchem poetyckim. Słuchem teatralnym i słuchem, a raczej wrażliwością, którą trudno ocenić jednym słowem, ale która pozwalała mu natychmiast odróżnić wszelką prawdę artystyczną od pozy czy fałszu.

* * *

To wszystko, co zostało tu powiedziane, można było w tej czy innej formie odnaleźć w poświęconych mu materiałach pośmiertnych. Ale przecież należy tutaj, właśnie na tym miejscu, dodać coś jeszcze, coś nie mniej, a może nawet bardziej ważnego dla zrozumienia zupełnej wyjątkowości tej postaci.

Wraz ze śmiercią Aleksandra Bardiniego skończył się ostatecznie jakiś świat. Chociaż prawdę powiedziawszy, ten świat skończył się jeszcze przed nim. On był jednym z ostatnich jego rozbitków.

Pochodził z Łodzi. Tutaj uczęszczał do szkoły, tutaj stawiał pierwsze kroki na deskach, może jeszcze nie scenicznych, ale przecież estradowych — jako skrzypek.

Genius loci tego miasta objawiał się w tylu dziedzinach, że trudno byłoby powiedzieć o tym zdumiewającym zjawisku wszystko, co by powiedzieć należało.

Łódź, która wychowała Bardiniego, to było miasto żydowsko- -inteligenckie, którego symbolem był „łodzermensz”. Tylko tutaj mógł się narodzić ten dziwny gatunek typu biegającego za interesami, a zarazem łapczywego konsumenta kultury. Nie mówiąc już o tym, że był on także i twórcą albo jeszcze lepiej — współtwórcą tej kultury. Atmosferę miasta (myślę o atmosferze kulturalno-społecznej), tworzyły dwa prądy. Prąd kultury polskiej tworzonej i konsumowanej przede wszystkim przez inteligencję żydowską i prąd kultury związanej z językiem jidysz. Bardini skupiał w sobie obydwie. Będą one tworzyły jego sylwetkę duchową przez całe życie.

Istniało wówczas — mówię o okresie międzywojennym w Łodzi — Towarzystwo Muzyczne „Hazomir”. Tu stawiał Aleksander Bardini swoje pierwsze kroki. Będąc utalentowanym skrzypkiem grał w orkiestrze „Hazomiru”, która dość regularnie dawała koncerty, wystawiając

wszystkie znane oratoria Haydna i Haendla. Orkiestra i chór „Hazomiru” odegrały wybitną rolę w dziele upowszechnienia w Łodzi muzyki. Ale jeszcze większą rolę w dziele upowszechnienia sztuki teatralnej odegrało studio teatralne, jakie istniało przy „Hazomirze”. Studio to prowadził mój ojciec. Wystawiało ono regularnie zarówno sztuki z repertuaru klasyki żydowskiej (Szaloma Alejchem, Icchaka Lejbusza Pereca, Mendle Mojcher Sforima), jak i propagowało współczesny repertuar światowy. Studio dawało przedstawienia po całej Polsce, a Bardini, nakłoniony do tego przez mego ojca, grał w zespole orkiestrowym, który towarzyszył przedstawieniom. (Nota bene, zespołem tym kierował, a właściwie muzykę dla tego zespołu tworzył Henoch Kon, zapomniany dzisiaj kompozytor żydowski, którego Bardini wysoko cenił.) W ten oto sposób zetknął się Aleksander Bardini z teatrem żydowskim i zapalał miłością do teatru w ogóle. Miłośnikiem i świetnym znawcą teatru żydowskiego pozostał Bardini przez całe życie. Znał jego wzloty i upadki, dole i niedole, jak rzadko kto. Prosto zaś z „Hazomiru” trafił Bardini do Zelwerowicza i do jego szkoły aktorskiej.

Ale nie tylko sprawy kulturalne Łodzi zadecydowały o jego całym życiu. Napisał Groński w „Polityce”, że ktoś, kto znał nędzę Księżego Młyna i Bałut, nie mógł nie związać się z lewicą. To prawda. Nie sądzę zresztą, żeby związki te były jakoś bardziej konkretne. To było raczej przekonanie, że świat, jaki Sasza zastał, należy zmienić. Ktoś, kto znał łódzką nędzę z jednej strony i łódzkie bogactwo — z drugiej, nie mógł wobec tych kontrastów pozostać obojętny.

Ten łódzki rodowód Aleksandra Bardiniego pozwala lepiej zrozumieć wiele z dalszych kolei jego życia.

* * *

W chwili wybuchu wojny Bardini zamieszkał we Lwowie. Kiedy Niemcy wkroczyli do tego miasta — musiał, rzecz jasna, się ukrywać. Ukrywała go Polka, która później została jego żoną. Po wojnie znalazł się w Polsce, ale w 1946 roku uciekł z kraju. Znalazł się w Stanach Zjednoczonych, gdzie pracował z Ernestem Piscatorem, jednym z najwybitniejszych twórców teatralnych naszego wieku. Pracował też w Kanadzie...

Cóż takiego zaszło, co zmusiło Bardiniego do opuszczenia Polski?

W poświęconych mu nekrologach wspominano, że wyjechał z kraju na skutek pogromu

kieleckiego. Czy była to jedyna przyczyna tej dramatycznej decyzji?

Przyjaźniłem się z Bardinim od wczesnych lat młodości. Kiedy znalazłem się na studiach we Francji, stosunki między nami osłabły. Spotkaliśmy się ponownie dopiero w 1946 roku, kiedy przyjechał do Wrocławia z Wieczorem Trzech Króli i teatrem Dąbrowskiego z Katowic.

W czasie antraktu pobiegliśmy z żoną za kulisy, by pocieszyć się wspólnie z Saszą tym, że jakoś udało nam się przeżyć. Wtedy powiedział nam, że wyjeżdża... Że dłużej wytrzymać nie może... Mówił o antysemickiej atmosferze w zespole teatralnym, o złym stosunku kolegów do jego żony, o raz po raz odczuwanej niechęci wynikającej z nastrojów antyżydowskich...

...Wrócił w 1950 roku. Wrócił, dzięki wstawiennictwu — nie było to tajemnicą — Leona Schillera.

W pięć lat po powrocie wystawił — pierwszy po wojnie — Dziady. Przez przeszło trzy dziesięciolecia wykładał w Szkole Teatralnej. Przez dwa sezony był dyrektorem „Ateneum”. Pytałem go, dlaczego z tego stanowiska zrezygnował? Odpowiedział mi, że rozeszły się drogi jego i wielu jego uczniów, którzy wraz z nim trafili do tego teatru. Uznał, że on im powinien ustąpić, a nie na odwrót...

Wiem, że wielokrotnie stawiano mu za granicą zarzut, iż wrócił do komunistycznej Polski. Odpowiadał niezmiennie, że wrócił do polskiej kultury, bo tylko w kraju może jej naprawdę służyć.

Po roku 1989, on, mający tak wiele do zarzucenia polityce kulturalnej PRL, zżymał się, gdy słyszał bzdury o „pustce kulturalnej”, jaka: stanowić miała spadek po Polsce Ludowej. On miał największe prawa by dawać świadectwo prawdzie o życiu kulturalnym, jako że był przez prawie pięćdziesiąt lat tego życia sługą i twórcą.

* * *

Wpisany przez Cwi Abramowicz, Antwerpia
Wtorek, 10 Marzec 2020 00:00 -

Aleksander Bardini odszedł, gdy od dziesięcioleci nie istniał świat, który go wychował, od dziesięcioleci zamierały i kompromitowały się idee, którym był wierny, od lat zamierały nadzieje, jakie wiązał (któż ich nie wiązał?) z okresami przemian ustrojowo- -społecznych. Żył (jak wszyscy z nas) nadzieją, że jakiś cud odwróci te tendencje, ale wkrótce i te nadzieje stracił.

Mogę, może więcej niż inni, powiedzieć o wzlotach i upadkach jego nadziei. Mogę to czynić dlatego, że przede mną nie musiał niczego ukrywać. Jakże często odczuwaliśmy to samo.

Raz oszukiwany złudną nadzieją chwilowych odwilży, innym razem opanowany czarną rozpaczą nawrotów chamstwa i czarnosecinnego antysemityzmu w polskim życiu politycznym, obserwował je bez złudzeń, komentując je jakimś zgryźliwym dowcipem czy gorzkim paradoksem. Powiedziałem, że obdarzony był absolutnym słuchem, pozwalającym mu wykryć obłudę czy fałsz tam, gdzie inni dawali się porwać pięknym słowom. Bardzo to było mu przydatne właśnie przy ocenie polskiego życia kulturalnego czy politycznego...

Ale niepotrzebny mu był ten słuch, aby usłyszeć znane skądinąd tony w niesłychanej decyzji władz łódzkich, które w 1992 roku najpierw postanowiły przyznać Bardiniemu obywatelstwo honorowe miasta, aby w przeddzień związanych z tym uhonorowaniem uroczystości, przenieść swój wybór na osobę niemieckiego potentata filmowego, pochodzącego, jak Bardini z Łodzi, ale posiadającego potężne zasoby finansowe.

* * *

...Dawno skończył się świat Bardiniego. Skończył się nasz łódzki świat „lodzermenszów”, skończył się świat złudzeń ideowych czy politycznych, a właściwie w ogóle świat złudzeń, któremu tak długo wierny był inny łódzki Żyd — Julian Tuwim.

Kiedy przed laty Sasza zamierzał poświęcić się teatrowi, jego ojciec, właściciel przyzwoitej jadłodajni w centrum Łodzi, próbował przekonywać go, by zrezygnował z kariery teatralnej, gdyż nie wypada, by mówiono, iż jego syn to „purymszpieler”, czyli aktor z purymowych szopek.

A jednak nim został. Nie dlatego, że poświęcił się teatrowi. Został nim, jak my wszyscy Żydzi,

Świadek epoki, która zginęła. Aleksander Bardini — 1913-1995

Wpisany przez Cwi Abramowicz, Antwerpia

Wtorek, 10 Marzec 2020 00:00 -

Łódzcy Żydzi, którzy w szopce życia kryć musimy swoją rozpacz za maskami z kolorowego papieru.

Cwi Abramowicz, Antwerpia